POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.

Wychodzi co tydzień *Dnia 22-go czerwca 1946r* **Rok VIII. Nr. 25**

SPRAWA CZŁOWIEKA

Wśród zamętu i zgiełku dzisiejszego życia odczuwamy głód rozwiązań pozytywnych. Zmęczeni zalewem zdewaluowanych haseł, pustych sloganów i nieżyciowych programów — chcemy jednak dojrzeć prawdziwy obraz rzeczywistości, szukamy logicznych wskazań na jakże mglistą i ciemną przyszłość.

Dobrze się stało, że w takich właśnie czasach wyszła zwarta, zdrowa książka Stanisława Neczaja: „W tej walce chodzi o sprawę Człowieka", wydana nakładem Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja" (NID). Główną wartość książki stanowi to, że wyszedłszy z błędnego kręgu emigracyjnych, „potępieńczych swarów" i epidemicznego nadkrytycyzmu prowadzi czytelnika ku samookreśleniu naszej postawy w obliczu kataklizmów dziejowych naszego wieku.

Lektura książki Neczaja przypomniała mi żywo „Wskazania" beznogiego Adama Skwarczyńskiego, wydane w 1936 r. oraz konspiracyjnie wydaną w 1943 r. w Warszawie programową książkę Jadźwinga (pseudonim jednego z czołowych naszych myślicieli-socjologów) pt. „Skąd i dokąd idziemy". Te trzy książki posiadają podobny klimat duchowy.

Skwarczyński nauczał młode pokolenie państwowe, że „historię uczynić należy posłuszną czynom ludzkim", że wartość i siła państwa są wynikiem wartości twórczych obywateli... Wyrabiał w nas głębokie poczucie odpowiedzialności za polskie życie społeczne.

Tezą naczelną pracy Jadźwinga było stwierdzenie rażącej niewspółmierności pomiędzy lawinowym rozwojem cywilizacji materialnej, a zastojem kultury duchowej w naszej erze. Jadźwing widzi ratunek w odrodzeniu humanizmu, to znaczy w odrodzeniu człowieka i wszystkiego co ludzkie. Zagubiony dziś w pędzie pasów transmisyjnych, w przetargu reklam, w wyścigu techniki — człowiek, *homo sapiens*, odnaleźć musi, wbrew wszystkiemu co go otacza i omamia, istotny sens człowieczeństwa. Człowiek współczesny coraz bardziej odgrywa rolę bezmyślnego robota, konsumenta standartowej, płytkiej prasy groszowej, beznadziejnie idiotycznych filmów amerykańskich przeważnie o gangsterskiej tematyce (musi być obowiązkowe morderstwo), lub jeszcze bardziej szkodliwych agitacyjnych filmów sowieckich, konsumenta gumy do żucia lub tandetnej machorki, no i kretyńskiej (straszna zemsta murzynów na rasie białej) muzyki swingów i „*hot-jazz'u*". O ile nie nastąpi zupełne otrzeźwienie, świat pogrążać się będzie coraz bardziej w otchłań bezsensu i ohydy.

Wątpię, czy Neczaj czytał książkę Jadźwinga, która doskonale chwyciła zasadniczy nurt myśli konspiracyjnej Warszawy; książka ta nieznana jest niestety Polakom na Zachodzie. Jest jednak rzeczą zadziwiającą, jak bardzo zbieżne są oceny i wywody myśliciela Polski Podziemnej i pisarza emigracji niepodległościowej.

Neczaj głosi potrzebę „humanizmu demokratycznego". „Naszym humanizmem — pisze — jest humanizm demokratyczny, obdarzający zaufaniem każdego człowieka, nie nakładający na niego jarzma cudzego racjonalizmu", w innym miejscu tego samego rozdziału (List IV.) nawołuje, by stanąć do walki z programem „praktycznego rozwiązywania warunków prawdziwej wolności KAŻDEGO człowieka, warunków, dających mu pełnię możliwości rozwoju i twórczości. Właśnie nie rozwiązania a rozwiązywania, bo zgodnie z naszym humanizmem odrzuciliśmy łatwe schematy. Do tej konkurencji trzeba stanąć, bez względu na szanse powodzenia".

Główny nacisk kładzie Neczaj na konieczność odrodzenia moralnego, jako podwaliny przyszłego lepszego świata. „Wizja lepszej przyszłości nie polega na wynalezieniu nowych doktryn. Polega na zdaniu sobie sprawy z potrzeby nałamania się do prostych, jedynie słusznych i prawdziwych, aczkolwiek niełatwych reguł Chrystusa". Neczaj wierzy, że „właśnie obecny przewrót daje nam szanse odrodzenia moralnego, daje większą swobodę człowiekowi zwrócenia się do reguł Chrystusa. Indywidualny człowiek, każdy człowiek — przez którego jedynie prowadzi droga do odrodzenia — ma dziś swobodę decyzji".

Słusznie też podkreśla „Zygmunt" w doskonałym liście końcowym, kwitującym dziesięć listów Neczaja, które stanowią treść książki (jest ona napisana w oryginalnej, lekkostrawnej formie listów do przyjaciela), że górującą cechą tej książki jest wiara w sprawę człowieka. „A Ty mówisz po prostu: Każdy Człowiek — i w ten sposób każdego człowieka traktujesz na równej stopie, jako jednakowo ważnego, jako jednakowo godnego zainteresowania, zajęcia się nim, przekonania go, że to, co on mówi, myśli i robi jest ważne dla społeczeństwa jako całości". Czyż może być bardziej demokratyczne postawienie sprawy człowieka?

W książce Neczaja nie znajdzie czytelnik jakichś nowych odkryć. Nie było to chyba jej zadaniem. Książka ujmuje natomiast w sposób ogólny to, co nurtuje dziś każdego niemal, myślącego Polaka. Każdy odnajdzie w niej wiele ze swych własnych przemyśleń i sformułowań. Polacy posiadają raczej skłonność do rozumowania analitycznego (często spotykane „czepianie się szczegółów"), umiejętność myślenia syntetycznego, ogólnego nie jest zjawiskiem zbyt częstym.

Neczaj opisuje nieraz zjawiska powszechnie znane, tu i ówdzie ucieka się nawet do koniecznych powtórzeń prawd znanych i uznanych, zaletą jego jest zdolność do głębokich, trafnych uogólnień oraz właściwego szeregowania zjawisk i sformułowań, zdradzającego poważną wiedzę ekonomiczną, historyczną i socjologiczną.

Jednym z zadań książki było niewątpliwie wykazanie tych elementów światopoglądowych, które odróżniają naszą postawę kulturalną od światoburczej koncepcji rosyjskiej. Cel ten autor osiągnął, co ze względu na obecną wojnę ideologiczną jest rzeczą ze wszech miar dodatnią.

Dobrze się stało, że w liście pt. „Polski klimat" Neczaj stara się pokazać pewną odrębność naszej kultury, gdyż zbyt ostre i częste utożsamianie naszej sylwetki duchowej z t. zw. „Zachodem" (jeden z najmodniejszych sloganów) wydaje mi się znajdywać szczególne uzasadnienie głównie w naszym zmaganiu z „uwschadnianiem" Polski. Poza tym, bądźmy szczerzy sami ze sobą, nie wszystko jest takie bez ale na tym kochanym Zachodzie, nie wszystko nas zachwyca, nie wszystko jest godne naśladowania i nie we wszystkim, chwalić Boga, jesteśmy do Zachodu podobni. Możemy i powinniśmy wiele się tu nauczyć, ale w niejednym też górujemy. Nie mamy specjalnego powodu do hodowania w sobie kompleksu niższości.

Książka Neczaja wnosi sporo świeżego powietrza. Uczy ona stosunku społecznego do życia i człowieka. W nadchodzących czasach które będą coraz trudniejsze, winniśmy być tu na wygnaniu masą zwartą i zgraną. Nasz korpus oficerski musi wykazać wiele, więcej niż dotąd, serca braterskiego i zmysłu społecznego.

Sumienne przeczytanie książki Neczaja ułatwi poważnie te zadania. Piszący te słowa był w ciężkim okresie po klęsce Francji jednym z oficerów oświatowych wśród szkockich wrzosowisk i wie z własnej praktyki, jak wiele znaczy dobra wola i szczery, umiejętny stosunek do każdego, choćby najtrudniejszego człowieka. Ale książkę tę przeczytać powinien także każdy szeregowy.

Pytałem niedawno kolegę z drugiego Korpusu, która z wydanych książek cieszy się największą popularnością wśród żołnierzy. „Wańkowicza album Monte Cassino noszone jest w tornistrach" — odpowiedział bez wahania (a ja miałem nadzieję, że raczej niemal do nich adresowany „Nurt" Berenta). Oczywiście nie ma w tym nic dziwnego, że żołnierz przedkłada księgę swej wiekopomnej chwały bojowej nad inną literaturę. Uważam jednak, że „W tej walce chodzi o sprawę człowieka" także doskonale nadaje się do podręcznej biblioteki żołnierskiej, zarówno dzięki prostocie jak i poruszonym w tej książce prawom.

Chcielibyśmy bowiem by z tej ery, którą cechuje najlepiej słynne sformułowanie Hobbes'a „homo homini lupus" (człowiek człowiekowi wilkiem), zwycięsko wyszła w końcu prawdziwa sprawa człowieka, a to przecież i od nas jest zależne.

JERZY JUR-LERSKI

POLSKA DEMOBILIZACJA

Gdy przyjdzie na mnie chwila uwolnienia,
Takie żołnierskie, krótkie: odtrąbiono —
Westchnę za matką, za siostrą, za żoną,
Spojrzę w ich stronę, szepnę: do widzenia.

I gdy niebiescy zagrają dobosze —
Posłuchaj druhu, o co cię poproszę:

Pod skołatane skronie przyjacielu,
Podłóż list biały, wyjęty z portfelu,

Pod stopy moje, kolego kochany —
Wsuń mapę Polski, odpiętą od ściany,

Do uszu przyłóż, dobry towarzyszu,
Muszlę z Bałtyku — może go usłyszą...

Powieki zamknij, wierny kompanionie,
Ziemią zebraną na moim zagonie,

W dłonie mi zapleć mój różaniec stary,
Na czole połóż pocałunek bratni,
A potem klęknij i po raz ostatni
Za wolność wieczną — zmów Wyznanie Wiary.

PAWEŁ MOSKWA

NI POKÓJ — NI WOJNA

Rok już przeszło minął od zakończenia wojny z Niemcami; bliska jest rocznica formalnego ustania działań wojennych przeciwko Japonii, a wciąż instynktownie, wśród nadmiaru parad „zwycięstwa", unikamy nazywania pokojem obecnego stanu rzeczy w świecie.

Ludzie bardziej oddaleni od głównych ognisk wypadków chętniej może posługują się tym słowem, dodają jednak określenie, podkreślające tylko jego paradoksalność. I tak na przykład Dorothy Thompson, w jednym ze swych bystrych artykułów na temat nastrojów amerykańskich, przeznaczonym dla publiczności brytyjskiej, zacytowała przykład matki, karcącej gdzieś w Nowym Yorku swego nadąsanego synka: „Don't be as gloomy as peace..." Dr. Jan Kaczmarek, w swej książce ogłoszonej w czasie tej wojny w Chile, rozdziałowi na temat okresu 1918–1939, dał tytuł: „Paz bellifera" — „Pokój brzemienny wojną".

Czyż określenie to, słuszne jeżeli chodzi o ubiegłe międzywojnie, nie stosuje się jeszcze bardziej do okresu, który przeżywamy obecnie? Bo spójrzmy tylko na mapę. Lub może lepiej na globus; mapa płaska jest coraz bardziej przeżytkiem, globus jest o tyle bardziej plastyczny. W środku tego co Sir Harold Mackinder, a za nim i Haushoffer, zwykli byli nazywać „wyspą świata" rozpościera się potężny geopolitycznie masyw Związku Sowieckiego. Na północy ubezpieczony biegunem, oparty oń niejako plecami, napiera w trzy strony świata, roszerzając swe dzierżawy na państwa z nim sąsiadujące. Ujarzmił już wszystkich swych przedwojennych sąsiadów na Zachodzie. Umacnia się pośpiesznie na obszarach, na których w tej wojnie stanęła stopa żołnierza Armii Czerwonej. Przenika do Europy Zachodniej, niosąc ze sobą groźbę przewrotu politycznego i rewolucji społecznej. Ale nie ogranicza się tylko do Europy.

Penetracja sowiecka rozciąga się na kraje Bliskiego i Średniego Wschodu, sięga Kanału Suezkiego, Zatoki Perskiej, Indyj i Chin. W ciągu ostatniego roku Moskwa ugruntowała swe panowanie w Europie i w Azji nad ludnością liczebnie równą Związkowi Sowieckiemu w jego granicach przedwojennych. Z państwa, które dwa i pół roku temu, w okresie Stalingradu stało na skraju zupełnej katastrofy, Rosja jest dzisiaj drugim co do potęgi mocarstwem świata. Ale nie poprzestaje na tym. Pretenduje do pierwszeństwa, do supremacji militarnej i przewodnictwa duchowego. I tu właśnie, w nienasyceniu rozbujanych apetytów sowieckich, leży sedno niepokoju naszych czasów. To uniemożliwia stabilizację na dłuższy przeciąg czasu siłą rzeczy.

Upojona zwycięstwem, mieszając staro-rosyjski mistycyzm wiary w Moskwę jako drugi Rzym, po którym trzeciego nie będzie, z marksistowskim apostolstwem rewolucji na eksport, polityka Kremla przeciwstawia się poza tym świadomie dążeniu do stabilizacji, reprezentowanym przez mocarstwa Zachodu.

Uwidoczniło się to wyraźnie tak na majowej konferencji paryskiej ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw, jak i w przededniu drugiej próby tego rodzaju. Grę t.zw. „Wielkiej Czwórki" można z grubsza określić tak: będąc gospodarzem Francja ograniczyła się, tym razem celowo, do prób wykorzystania konfliktu między Wielką Trójką, starając się przy tym, o ile możności, upiec swoją nadreńską pieczeń. Rola gospodarza-pośrednika z natury rzeczy skłaniała ją do prób zażegnania, czy choćby odwleczenia zerwania Konferencji.

Mocarstwa Anglo-Saskie, St. Zjednoczone i W. Brytania, pomimo odmiennego nastawienia i różnic taktycznych, miały w gruncie rzeczy ten sam cel zasadniczy: przez szybkie podpisanie traktatów pokojowych z b. satelitami ustabilizować stosunki w Europie i w tych warunkach spróbować osadzić na miejscu ekspansję sowiecką, stwarzając tym samym korzystniejsze warunki odbudowy gospodarki światowej. Taki był ich pierwszy cel taktyczny na pierwszej konferencji paryskiej, z nim również wydają się wyruszać na drugą. W razie gdyby nie udało się go osiągnąć — a co do tego kierownicy polityki obu mocarstw od początku byli i są coraz bardziej pesymistycznie nastrojeni — mają one na oku drugi cel: wykazać światu kto stoi na drodze do stabilizacji.

Choć Trocki nie jest dziś w Sowietach modny, stalinowska polityka zagraniczna wydaje się kierować hasłem Trockiego z okresu po pokoju w Brześciu Litewskim: „wojnę kończymy — pokoju nie zawieramy". Ni pokój — ni wojna... Dlaczego nie pokój?

Formalne zawarcie układów pokojowych sprzyja stabilizacji stosunków. Może stanowić pretekst do żądania wycofania wojsk sowieckich z Europy Środkowo-Wschodniej. Utrudnia penetrację na zachód, daje możność lepszej obserwacji poczynań sowieckich w ich sferze wpływów. W ogóle stabilizacja to nie jest stan, w którym rewolucjonista czułby się dobrze, zwłaszcza gdy ma wypracowane dalekosiężne plany dywersji politycznej i społecznej, które pozwolić mu mają na zyskiwanie na czasie i równoważenie przewagi potencjalnej Zachodu. W międzyczasie puszcza się w ruch czwartą piatiletkę i robi się próby odkrycia lub wykradnięcia tajemnicy bomby atomowej.

Ale dlaczego nie otwarty konflikt? Zdaje się, iż konfliktu tego Moskwa boi się bardziej od Zachodu, nie czując się do niego przygotowana; swą obawę nadrabia natarczywością. Dlatego unika formalnego zerwania: oznaczałoby to pobudzenie czujności Anglosasów, prawdopodobnie konieczność wystąpienia z O.N.Z., utrudniło by penetrację, mogło by się stać początkiem montowania koalicji antysowieckiej, tego koszmaru ciągle trapiącego Kreml.

Mowa Mołotowa z 26 maja oraz reakcja sowiecka na debatę w Izbie Gmin z 4 i 5 czerwca wydają się być jeszcze jedną próbą zastraszenia Zachodu przed drugą z kolei konferencją paryską, która rozpoczęła się dnia 15. czerwca. Mołotow zdaje się grozić zerwaniem, lecz nie pali wszystkich mostów za sobą. Kompromis jest dalej możliwy, pod warunkiem, iż byłby to kompromis w stylu sowieckim, to jest na warunkach idących daleko po linii żądań Moskwy. Taktyka sowiecka polega więc na manewrowaniu w ramach marginesu: od stabilizacji formalnej do formalnego zerwania. W ten sposób zyskuje się na czasie, przygotowując się do rozprawy w korzystniejszym momencie, gdy będzie się miało większy potencjał przemysłowy, a przeciwnika bardziej zdemoralizowanego.

Jak dotychczas Stalin rozumie to, czego nie pojął Hitler: Wbrew popularnym poglądom totalizmy są silniejsze w pokoju niż w wojnie. Pokój daje lepsze warunki przenikania wszelkiego rodzaju piątych, czy szóstych kolumn i oddziaływania propagandowego, w czym totalizmy przecież celują. Pokój usypia demokrację, wojna podrywa i mobilizuje.

Ponieważ więc ani Sowiety, ani Anglosasi, nie chcą dla rozmaitych powodów wojny — wydaje się, iż otwarta forma zbrojnego konfliktu może nawiedzić świat, rebus sixtantibus, tylko w wyniku przypadku. Wchodzimy raczej w okres chwiejnej stabilizacji. Ożywiony zdobywczą doktryną, geopolityczny masyw sowiecki jest katalizatorem wielkich przemian na obszarach, leżących na jego obwodzie. Choć Rosja nie jest najsilniejsza w zespole mocarstw, zachowuje się, jakby nią była. Podsyca przewroty, narzuca przemiany, lecz sama wydaje się nie brać udziału w zachodzących dookoła niej przeobrażeniach. Swe braki i słabości pokrywa dynamiką lub po prostu tupetem.

Proces ten może trwać tak długo, jak długo doktryna sowiecka nie napotka na siły tak ideowo, jak i materialnie zdolne przeciwstawić się jej dążeniom. Proces konsolidacji Zachodu, postępujący niewątpliwie naprzód, jest jednak wolny; przyśpieszyć mogą go tylko gwałtowne zmiany bądź w Rosji, bądź na Zachodzie.

Nasuwa się z kolei inne pytanie. Jak długo Rosja może pozostać w roli klasycznego katalizatora? Katalizatory znane są w fizyce; czy istnieją one również w zjawiskach socjologicznych? Czy dokonawszy raz u siebie najkrwawszej rewolucji jaką znają dzieje, na zawsze uodporniła się na wszelkie przewroty? Na jak długo wystarczy jej dynamiki pokrywającej niedobór istotnego ciężaru gatunkowego w tym atomowo-rakietowym świecie?

M. K. DZIEWANOWSKI

Przegląd tygodniowy

„OSTATNIA PRÓBA"

Oczy świata znowu skierowane są na Paryż. Tam w ciągu najbliższych tygodni musi się ostatecznie rozstrzygnąć, czy będzie się próbowało raz jeszcze skleić potłuczoną porcelanę „współpracy sojuszniczej", czy też nastąpi musi ostateczny podział świata na dwa obozy, które będą się już tylko przygotowywały do nieuniknionej prędzej czy później walki.

Opinia Zachodu wydaje się psychicznie przygotowana do tej drugiej możliwości. W przededniu konferencji paryskiej głosy prasy amerykańskiej i brytyjskiej na temat tej, jak się powszechnie mówi, „ostatniej próby" osiągnięcia porozumienia z Rosją były zdecydowanie pesymistyczne, czasem beznadziejne. Przeważa przekonanie, że podział świata jest rzeczą przesądzoną i plany zorganizowania jego części zachodniej przybierają coraz bardziej konkretne kształty. Ale nie można bynajmniej wykluczyć, że mimo wszystko dojdzie do jakiegoś porozumienia, któreby odraczało na pewien czas ostateczną rozgrywkę polityczną i decyzję tworzenia bloku zachodniego.

Niepodobna snuć żadnych przewidywań nie znając decyzji, jakie zapadły w Moskwie pomiędzy jedną, a drugą konferencją paryską. W tym czasie w świecie zaszło dużo wydarzeń, które musiały być w Moskwie przedmiotem głębokiego zastanowienia. Nie byłoby z pewnością niespodzianką, gdyby rozpatrzenie sytuacji doprowadziło władców Kremla do wniosku, że tempo ofensywy sowieckiej było zbyt gwałtowne i że wyniki są odwrotne niż oczekiwano, wobec czego taktyka musi ulec pewnej zmianie.

KONGRES W BOURNEMOUTH

Moskwę spotkało w ostanich tygodniach wiele rozczarowań. Jednym z nich były wyniki wyborów w różnych krajach Europy zachodniej, zakończone mniej lub więcej wyraźnym niepowodzeniem komunistów. Fala komunistyczna, która niewiele miesięcy temu groziła zalaniem całego kontynentu, jest wyraźnie w odpływie.

Wielkim rozczarowaniem musiał być dla Moskwy przebieg kongresu Labour Party w Bournemouth. Kreml liczył niewątpliwie poważnie na głębsze rozdźwięki w łonie rządzącego stronnictwa brytyjskiego, a w szczególności na silną opozycję przeciw polityce p. Bevina. Trzeba pamiętać, że kierownictwo sowieckie nie jest na ogół dobrze poinformowane o tym, co się dzieje w innych krajach. Czerpie ono bowiem informacje głównie od miejscowych komunistów, którzy ze zrozumiałych względów wyolbrzymiają swoje „sukcesy" i usiłują wykazać jak dobrze pracują.

W prasie sowieckiej i warszawskiej można było przed kongresem w Bournemouth czytać o olbrzymiej opozycji przeciw „reakcyjnej" polityce p. Bevina. I oto okazało się, że minister spraw zagranicznych W. Brytanii ma zaufanie olbrzymiej większości członków swej partii. Zwrócone przeciw jego polityce rezolucje zostały odrzucone lub wycofane. Okazało się także, że socjaliści brytyjscy, w przeciwieństwie do swych kolegów w wielu krajach kontynentu, doskonale rozumieją niebezpieczeństwo piątej kolumny komunistycznej. Większością 5 : 1 kongres raz na zawsze uniemożliwił próby komunistów wejścia do Labour Party w formie zorganizowanej, przez przyjęcie do statutu poprawki wykluczającej przystępowanie do partii ugrupowań o własnej organizacji politycznej lub zależnych od czynników zagranicznych. Uprzednio tą samą większością odrzucono wniosek o afiliację partii komunistycznej.

Niewątpliwie w dalszym ciągu istnieje w łonie partii socjalistycznej grupa krypto-komunistów, ale kongres wykazał jej słabość. Prędzej czy później ta piąta kolumna opuści zapewne szeregi partii ; już teraz jednak Moskwa musi zdawać sobie sprawę z tego, że na opanowanie Labour Party od wewnątrz liczyć nie może i że pozycja p. Bevina jest niezmiernie silna.

AMERYKA I KONTROLA ATOMOWA

Również polityka amerykańska jest dla Rosji rozczarowaniem. Tylko jedno wydarzenie na terenie Ameryki może być uważane przez Kreml za korzystne, a mianowicie wyniki wstępnych wyborów w stanie Nebraska, gdzie kandydatem republikańskim do Senatu wybrany został ponownie znany izolacjonista. Aczkolwiek izolacjoniści są wrogo wobec Rosji nastawieni, Moskwa chętnie powitałaby ich triumf, gdyż oznaczałby wycofanie się Ameryki z polityki międzynarodowej, torując drogę do rozszerzania wpływów sowieckich. Jednakże choć wynik z Nebraski jest niepokojący, to nie można wyciągać z niego zbyt daleko idących wniosków, zwłaszcza, że wiele jest dowodów na to, iż obecna, stanowcza polityka p. Byrnesa ma poparcie znacznej większości społeczeństwa.

O czynnej, odrzucającej izolacjonizm postawie Ameryki świadczy zresztą najlepiej plan kontroli energii atomowej i powszechne dlań uznanie w opinii amerykańskiej. Plan przedstawiony Komisji energii atomowej Narodów Zjednoczonych przez p. Barucha idzie daleko. St. Zjednoczone gotowe są wyrzec się swego obecnego monopolu, wydać tajemnicę bomby organowi międzynarodowemu, zniszczyć posiadane bomby i nie fabrykować nowych, jednakże wszystko to pod warunkiem skutecznej kontroli, oraz pewności, że wszelkie nadużycia, świadczące o zamiarach napastniczych, będą natychmiast karane. Aby umożliwić szybkie działanie przeciw napastnikowi, zanim jeszcze dokona agresji, veto wielkich mocarstw musi być zniesione.

ROSJA PRZED TRUDNYM WYBOREM

Wystąpienie St. Zjednoczonych z tego rodzaju planem powitać trzeba z uznaniem. Byłoby bardzo źle, gdyby Stany Zjednoczone „usiadły na bombie" — gdyby wmówiły sobie, że mając jej monopol mogą spać spokojnie. Jest rzeczą nieodzowną wykorzystać przejściową przewagę, jaką Ameryka posiada, dla zbudowania prawdziwego pokoju. Obecny plan jest próbą w tym kierunku.

Rosja znajdzie się teraz w trudnym położeniu. Ma do wyboru albo przyjąć plan, albo go odrzucić. Przyjęcie go wydaje się, w gruncie rzeczy, niemożliwe. Taka kontrola jak ta, którą proponują Amerykanie, oznaczałaby koniec systemu sowieckiego, opartego przecież na całkowitym odcięciu Rosji od świata. Sowiety nigdy się nie zgodzą na to, by obcy kontrolerzy jeździli po ich terytorium, by kopalnie i fabryki w Sowietach były własnością organizacji międzynarodowej, by uczeni sowieccy byli kontrolowani przez tę organizację i td.

Tak samo niepodobna sobie wyobrazić zgody Rosji na zniesienia veta, o które walczyła tak zażarcie w Dumbarton Oaks, Jałcie i San Francisco. Sowiety boją się, że decyzje pobierane większością głosów wypadłyby przeciw nim. Już nazajutrz po ogłoszeniu planu amerykańskiego prasa komunistyczna zaczęła mówić o „dyktaturze atomowej", jakiej rzekomo pragną wrogowie Sowietów.

Jeżeli jednak Rosja odrzuci plan kontroli energii atomowej, to w oczach świata jej zła wola będzie ostatecznie stwierdzona i narody wolne będą musiały powiedzieć sobie, że Rosja czeka tylko na chwilę, gdy sama zdobędzie bombę.

Dlatego najprawdopodobniej Rosja grać będzie na zwłokę, obiecując poparcie planu amerykańskiego, a jednocześnie usiłując go podważyć i kontrolę jak najdalej zredukować. Jednakże Amerykanie wydają się zdecydowani dążyć do szybkich decyzji, wiedząc, że nie ma dużo czasu do stracenia.

PROCES GEN. MICHAJŁOWICZA

Obok tych wielkich wydarzeń proces gen. Michajłowicza z natury rzeczy schodzi na drugi plan. Niepodobna jednak przejść nad nim do porządku dziennego.

Proces ten nie wiele się różni od innych tego rodzaju procesów w Europie sowieckiej, np. od procesu szesnastu w Moskwie ; jednakże jeszcze wyraźniej jest on wymierzony przeciw W. Brytanii. Nie ulega wątpliwości, że celem jest skompromitowanie polityki brytyjskiej, a w pewnym stopniu także amerykańskiej. Jest przy tym rzeczą interesującą, że sam Michajłowicz „sypie" Brytyjczyków swymi zeznaniami. Twierdzi on, że właśnie brytyjscy oficerowie doradzali, czy zgoła nakazywali mu „zlikwidowanie" komunistycznych partyzantów.

Ci oficerowie zaprzeczają temu. Powstaje pytanie, czy gen. Michajłowicz zmyślił te fakty, powodując się np. chęcią zemszczenia się na Brytyjczykach, którzy go w krytycznej chwili porzucili, lub też dążąc do pogłębienia konfliktu między reżymem Tity, a W. Brytanią, czy też w owym okresie t.j. w roku 1943 W. Brytania rzeczywiście była by chętnie widziała zniszczenie komunistów. Jak wiadomo Brytyjczycy planowali wówczas inwazję Bałkanów, i wiedzieli, że w tym wypadku mogą naprawdę liczyć tylko na patriotów pod rozkazami Michajłowicza. Później, gdy pod presją Rosji zrezygnowali z planu lądowania w Dalmacji, Michajłowicz przestał im być potrzebny.

W każdym razie proces gen. Michajłowicza powinien pokazać opinii brytyjskiej jakim błędem było poświęcenie go na rzecz Tity.

Londyn, 16 czerwca, 1946.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Echa nieobecności Polaków na defiladzie zwycięstwa w Londynie bynajmniej jeszcze nie przebrzmiały w prasie brytyjskiej. Kilka tygodników powróciło do tej sprawy w ostatnim tygodniu.

„Weekly Review", który niestety nie rozchodzi się zbyt szeroko w społeczeństwie brytyjskim, zamieścił piękny „list otwarty do Prezydenta Raczkiewicza", dający wyraz przekonaniu, że postępowanie rządu brytyjskiego w tej sprawie nie odzwierciadlało postawy społeczeństwa i głoszący w konkluzji:

„Nie możemy mieć uczucia wygranej wojny, ponieważ Polska nie jest jeszcze wolna. Nie możemy mieć uczucia, że Defilada Zwycięstwa, w której nie wzięły udziału polskie wojska lądowe, marynarka i lotnictwo, była symbolem prawdziwego zwycięstwa..."

Ten sam tygodnik pisze na innym miejscu wciąż na ten sam temat :

„... Z uczuciem wstydu i bólu notowaliśmy nieobecność dzielnych Polaków, którzy tak bardzo przyczynili się do sukcesu... Reprezentacja polska byłaby przyjęta z olbrzymim entuzjazmem ; ale w przekonaniu naszych polityków mogłoby obrazić rząd polsko-sowiecki, który został zaproszony do wysłania delegacji. Zresztą wolni Polacy w Anglii byliby obrażeni, gdyby proszono ich, żeby maszerowali obok przedstawicieli rządu tymczasowego, narzuconego ich krajowi przez siłę sowiecką".

Bardzo ostre stanowisko zajął w tej sprawie również tygodnik „Truth" pisząc :

„Wyrazy ubolewania p. Churchilla z powodu tego, że prawdziwa armia polska nie została zaproszona do udziału w Defiladzie Zwycięstwa będą dzielone przez każdą przyzwoitą i poinformowaną osobę. Wykluczenie to zdradza niewolnicze wygodnictwo polityczne, nie troszczące się o honor brytyjski. Jeśli mniejsze narody wyciągną morał z tej sprawy, to powiedzą sobie, że lojalność wobec W. Brytanii w jej najczarniejszych dniach nie jest najlepszą drogą do uzyskania później jej wdzięczności...

„Niektóre uwagi p. Churchilla o Polsce i jej obecnej niedoli dziwnie brzmią, gdy się pamięta zapał, z jakim występował na rzecz linii Curzona i jego niezadowolenie zaledwie rok temu z wszelkiej krytyki jego „starego przyjaciela", marsz. Stalina. Aczkolwiek wymagania wojny były wielkie, trzeba powiedzieć, że p. Churchill nie ma silnej pozycji, gdy krytykuje niewdzięczność rządu Labour Party wobec tych, którzy byli ongiś naszymi jedynymi czynnymi przyjaciółmi".

Ten sam tygodnik poświęca artykuł sprawie polskiej w jej całokształcie. W artykule tym, noszącym tytuł „Zdrada Polski", „Truth" stwierdza, że choć W. Brytania osiągnęła w wojnie swój bezpośredni cel, zadając klęskę Niemcom, to jednak nie wychodzi zwycięsko z wojny, ponieważ „polityka brytyjska, w przeciwieństwie do oręża brytyjskiego, została beznadziejnie pobita". Pismo analizuje politykę sowiecką w odniesiemu do Polski, nazywając stanowisko wobec powstania warszawskiego „najbardziej wyrachowaną zdradą w historii", po czym potępia politykę „appeasement'u" uprawianą przez W. Brytanię i Stany Zjednoczone wobec Stalina w latach 1944 i 1945, zapytując :

„Cóż to za polityka, która poświęca wypróbowanych przyjaciół na rzecz ich śmiertelnych wrogów ?"

Głosy te, pomimo niezbyt dużego zasięgu obu pism, zasługują na uwagę jako przejawy sprzeciwu w stosunku do polityki ustępstw wobec Rosji i uznawania faktów dokonanych w Polsce.

Prasa codzienna i duża część prasy tygodniowej nie wykazuje niestety jeszcze należytego zrozumienia sytuacji w Polsce i nie zdobywa się na kategoryczne potępienie stale wzmagającego się terroru Bezpieki. Tak np. „Manchester Guardian" w artykule poświęconym referendum polskiemu, traktuje tę imprezę poważnie, tak jakby naród polski mógł wypowiedzieć w nim swą wolę !

Kiedyż wreszcie cała prasa brytyjska nauczy się nazywać rzeczy po imieniu ?

LECTOR

Polska pod okupacją : reżim a społeczeństwo

ZIEMIE ZACHODNIE

Komuniści, dzisiejsi faktyczni władcy Polski, ukrywający się pod firmą PPR-u, pragną narzucić się społeczeństwu jako wyłączni obrońcy honoru i suwerenności państwa polskiego, jako jedyni reformatorzy społeczni, jako nieomylni znawcy wszystkiego, czego naród polski pragnie i do czego dąży. Komuniści w Polsce tworzą też w tym celu odpowiednią legende wokoło siebie. To oni głównie walczyli przeciwko Niemcom (wstydliwie wprawdzie przemilczając, że dopiero od czerwca 1941, kiedy to Rosja Sowiecka została najechana przez Hitlera), to oni tylko chcieli przesunięcia granicy polskiej na zachód, to oni tylko walczyli o reformę rolną i t.d.

Ostatnio okazję do wystąpienia w roli głównego szermierza w walce o Ziemie Zachodnie dała wodzowi PPR, Władysławowi Gomółce, rocznica powstań śląskich. W związku z tą rocznicą stwierdził on :

„Ideę powrotu Polski na Ziemie Zachodnie, o realizację której krwawił się w powstaniach lud śląski, na czele z klasą robotniczą, podjął i zrealizował w drugiej wojnie światowej zjednoczony obóz demokracji polskiej, z Polską Partią Robotniczą na czele. Dzięki naszej partii nie dała się Polska ponownie zepchnąć na stare tory zgubnej polityki pilsudczyzny... Dzisiaj możemy z dumą podkreślić, że dzięki słusznej polityce rządu demokratycznego, dzięki sojuszowi narodu polskiego z narodami Związku Radzieckiego — Polska powróciła na swe ziemie piastowskie".

Gomółka przechodzi do porządku dziennego nad historią, która mówi, że z górą pięćdziesiąt lat przed nim Jan Popławski, jeden z twórców ruchu demokratyczno-narodowego, wystąpił z hasłem, że państwo polskie nie będzie naprawdę niepodległe bez Ziem Zachodnich. Gomółkę nic też nie obchodzi, że z programem rewindykacji terytorialnych w stosunku do Rzeszy Niemieckiej wystąpił rząd Sikorskiego, grubo przed tym, zanim obywatel Gomółka zdecydował się na walkę z Niemcami, sojusznikami jego mocodawców na Kremlu. Ale cóż to komunistów obchodzi ! Dla Komitetu Lubelskiego historia zaczyna się dopiero z Manifestem Lipcowym.

SYMBOL ROGATYWKI

Dzisiejsi wodzowie wojska w Polsce postanowili, że zamiast dotychczasowej rogatywki, nakryciem głowy żołnierza przy uroczystych wystąpieniach, do wyjścia na miasto i na urlopach ma być czapka okrągła. Ta decyzja (wydawałoby się, że są ważniejsze kłopoty) wywołała różne komentarze w społeczeństwie.

„Aktualnych w tej materii zastrzeżeń — pisze „Gazeta Ludowa" — nie usunie powoływanie się na czapki szwoleżerskie... Zdaje mi się, że zarzucanie rogatywki, której kształt symbolizuje polską duszę rogatą — powiedzmy ściślej — buńczuczną i podtrzymuje piękną tradycję polską z okresu ostatnich bodaj trzech wieków, nie jest naszemu społeczeństwu miłe.

„Rogatywka była nakryciem głowy konfederatów barskich, była strojem chłopów mazurskich, ze wsi polskiej przeszła w modę szaraczków i rzemieślników po miastach. Naczelnik Kościuszko i jego kosynierzy nakładali na głowę rogatywki, zazwyczaj na bakier nasadzone, dla okazania fantazji i brawury żołnierskiej. W rogatywce na głowie złożono do trumny największego naszego wieszcza, Adama Mickiewicza.

„I owóż przykro, że swoisty kształt czapki rogatej — odchodzi do muzeum".

Na pozór to może sprawa błaha : rogatywka czy okrąglaczka, ale to zrywanie z tradycją i przeszłością w dzisiejszej Polsce ma swą wymowę. Po zdjęciu korony z orzełka żołnierskiego, przyszła kolej na rogatywkę. To są symbole — charakterystyczne jednak.

EMIGRACJA WEWNĘTRZNA

Społeczeństwo polskie nie chce i nie może się pogodzić z okupacją komunistyczną kraju. Prasa ściśle kontrolowana w Polsce nie jest w stanie dać temu wyraz otwarcie ; z pewnych jednak odgłosów można to wyczytać.

O demonstracjach młodzieży w Krakowie dowiedzieliśmy się najpierw przypadkiem, gdyż w tym czasie bawili tam dyplomaci i korespondenci zagraniczni. Potem dopiero z różnych „protestów demokratów" pośrednio dowiedzieliśmy się, że podobne manifestacje miały miejsce także w Gliwicach, Poznaniu i innych ośrodkach.

Podobnie rzecz się miała z wiadomościami o strajkach robotników na Wybrzeżu. Ostatnio, znów drogą pośrednią, dowiedzieliśmy się o naprężonej sytuacji wśród robotników łódzkich. Wychodzący w Łodzi „Kurier Popularny" pisze :

„Wrogie demokracji czynniki usilują wnieść dywersję na tereny fabryk łódzkich, zgierskich i pabianickich, dążąc do wywołania strajków. Podłożem tej agitacji jest niewątpliwie walka polityczna, rozgrywająca się pomiędzy jawną i skrytą opozycją a obozem budującym w ciężkich warunkach życie polskie na demokratycznych podstawach. „Terroru w fabrykach nikt tolerować nie może. Ani terror ani szeptana propaganda nie zastraszy proletariatu..."

Te objawy niezadowolenia, buntu przeciw okupacji Polski przez obcą społeczeństwu „elitę" stały się tak oczywiste, że organ PPR zmuszony był to wyznać, pisząc :

„Istnieje u nas emigracja wewnętrzna. Środowiska ludzi obserwujących z głęboką niechęcią wszystko co się u nas dzieje, czekających aż się „to" zawali".

Stosunki w Polsce, narzucanie społeczeństwu sposobu życia sprzecznego z jego wolą, pragnieniami i ideałami powodują ten charakterystyczny dla dzisiejszej naszej rzeczywistości fakt — emigracji zewnętrznej i „wewnętrznej", jak to określa reżimowy „Głos Ludu".

PRZYKŁAD POZNANIA

Krytyka stosunków w Polsce nie przesłania nam osiągnięć narodu dzięki jego zaletom charakteru oraz woli odbudowania kraju. W miesięczniku „Twórczość" znajdujemy następujący opis życia w Poznaniu :

„O budującym się Poznaniu trzeba by głośno krzyczeć na całą Polskę, wołać nawet w miastach takich, gdzie jeden dom rozwalony pociskiem lub bombą, do obecnej chwili przeraża ruiną. Jak w wielkim, starym lesie, słychać tu po wszystkich duktach i zakamarkach gęstwiny stukanie dzięcioła. Praca na pozór drobna : rozbiórki, wywózki, artystyczne łatanie, niwelacja ; co dzień gdzieś nowa błyśnie szyba i biała firanka zakryje czarną wnękę wypalonego okna. To nic, że Poznań staje się coraz „niższy", gdy ze zburzonych pięter pozostają tylko świeżo tynkowane partery. To jest właśnie praca „od podstaw" cicha, mrówcza i uparta praca. Z odbudową życia kulturalnego sprawa przedstawia się podobnie".

Każdy kto zna Poznań i społeczeństwo wielkopolskie sprzed wojny, łatwo z tego opisu przekona się, że Wielkopolanie nie zmienili się. Te same zalety charakteru, które mieli dawniej, pozwalają im dzisiaj odbudowywać życie solidnie, porządnie, gruntownie i bez rozgłosu. Tak jest i w innych częściach kraju. Naród pracuje tak, jak umiał pracować dawniej. My, których cele nasze zmusiły do chwilowego przebywania na obczyźnie, wszystkie takie objawy śledzimy z radością i z nich czerpiemy wiarę w lepszą przyszłość Polski.

TADEUSZ NALER

Poradnik żołnierski

„F /Lieutenant"

Prośbę swoją proszę skierować do Konsulatu Argentyńskiego na adres : Argentine Consulate, River Plate House, 12, South Place, London, E.C.2.

Franciszek A.

Ojciec Pana powinien ubiegać się o zaopatrzenie „rządu tymczasowego" na podstawie ustawy emerytalnej Dz.U. Nr. 20 /34, obowiązującej w dniu 30 sierpnia 1939. Na podstawie protokółu polsko - brtytyjskiego z dnia 18 maja 1943, o którym Pan pisze w swym liście nie przewiduje się wypłaty zaopatrzenia na rzecz osób przebywających w Polsce.

Dragon W.S.

Rodziny wojskowe przebywające w Z.S.R.R., zarejestrowane w Wydziale Rodzin Wojskowych Szefostwa Służby Opiek. nad Żoł. Sztabu Głównego otrzymują od czasu do czasu pomoc materialną w formie paczek wysyłanych z funduszów społecznych.

Plut. Zag. Jerzy.

Urlop do Francji nie jest urlopem zwykłym — wypoczynkowym, ale urlopem nadzwyczajnym, udzielanym w zależności od potrzeb żołnierzy, mających rodziny na kontynencie. Stąd nie ma żadnych norm regulujących ile razy i w jakich odstępach czasu dany żołnierz może wyjeżdżać do Francji. Proszę zgłosić prośbę do dowódcy swego oddziału.

Sierżant M.

Obecnie nie ma żadnych możliwości wcielenia do jednostek Wojska w Zjednoczonym Królestwie. Składanie indywidualnych próśb w tej sprawie do Władz Brytyjskich jest bezcelowe.

Oficer Opieki P.155.

Na podstawie nadesłanych mi danych nie jestem w możności Panu udzielić żadnych informacji, lub rad. Sprawy rozwodowe zależą od całego szeregu niejednokrotnie drobnych, ale niemniej b. ważnych motywów, którymi kierują się strony. W konkretnych wypadkach pytaniem jest również, jaki sąd i w którym kraju uzna się za kompetentny do rozpatrzenia sprawy rozwodowej obywateli polskich. Proszę poinformować zainteresowanych żołnierzy, że winni oni zwrócić się o pomoc prawną do adwokata brytyjskiego, który zajmuje się sprawami rozwodowymi. Wskazane jest również, by to samo zrobiły żony tych żołnierzy zwracając się do miejscowych adwokatów we Włoszech i Francji.

Mieczysław A. Por.

O ile żona Pana przebywa na terenie Zjednoczonego Królestwa, bez względu na narodowość posiadaną przed zamążpójściem przysługuje jej zasiłek £25 po urodzeniu dziecka.

Por. Czesław D.

Pozostawanie żołnierzy poza jednostkami wojskowymi uregulowane zostało rozkazem Szefa Sztabu Głównego L.dz.811 /Adm.Rez. /46 /IV. z dnia 15 lutego 1946 r.

Sierżant Adam M.

Paczki wysyłane do Kraju nie podlegają obecnie ocleniu w Kraju. Adres Konsulatu brytyjskiego w Katowicach : ul. Kościuszki nr. 67.

Czer. Wincenty.

Wszelkich informacji udzieli Panu Konsul Amerykański (adres : 1, Grosvenor Square, London, W.1). O wizę na wyjazd można starać się osobiście.

List ze Szkocji

Kiedy w zimie bieżącego roku nastąpiło przesunięcie obozów wojska polskiego do północnej Szkocji, rozpętała się dokoła tego faktu istna nawała plotek i pogłosek. Obiektywnie przyznać trzeba, że było w nich trochę rodzimej, emigracyjnej gadaniny, „domyślania się", szukania powodów, dla których żołnierze polscy mają jechać — jak mówiono złośliwie — w „bliskie sąsiedztwo bieguna", ale nie obyło się naturalnie bez tego by „poputczyki", trudzący się dla wiadomego koloru propagandy, nie próbowali przyłożyć swoich brudnych łap.

Rozchodziły się więc fantastyczne, nie wiadomo przez kogo rozsiewane wiadomości, że wymarsz na Północ to pierwszy krok na drodze do zupełnego izolowania żołnierzy polskich, oddzielenia ich zupełnego od życia ludności cywilnej i — kto wie — czy nawet nie internowania za drutami kolczastymi; podejrzane typy, skupiające się przeważnie dokoła pewnych ośrodków „demokratycznych" w Glasgowie, prorokowały, że znalazłszy się w „syberyjskich" warunkach Polacy zaczną się masowo zgłaszać na powrót do Kraju, złośliwie szepcząc, że właśnie taki i nie inny był powód, dla którego władze brytyjskie nakazały zmianę miejsc postoju. Dla „zmiękczenia", wszystko dla zmiękczenia opornych — mówiono. Nie zawahano się nawet dla osiągnięcia doraźnych, plugawych celów przed rzuceniem obelżywego podejrzenia, że przenosząc żołnierzy polskich do słabo zaludnionych okręgów północnej Szkocji, władze chciały położyć kres rzekomym praktykom czarno-rynkowym.

Ale te wszystkie plotki na temat „politycznych" przyczyn przeniesienia wzięły szybko w łeb. „Syberyjskie warunki" okazały się wierutną bujdą, skoro tylko „izolowani", „odcięci" żołnierze pojawili się z przepustkami w Edinburghu czy Dundee i niemal jednogłośnie stwierdzili, że pobyt na Północy w zupełności im odpowiada. Były, owszem, przejściowe trudności, trzeba było tu i ówdzie naprawiać baraki czy urządzenia, były lokalne niedomagania, ale przy dobrej woli własnej a życzliwej współpracy Brytyjczyków rada znalazła się na wszystko. Klimat na tej dalekiej Północy okazał się — o dziwo! — znacznie łaskawszy w porze zimowej od aury w okolicach Glasgowa czy Edinburgha, a ludność — mimo zauważonych gdzieniegdzie prób „przygotowania terenu" przez miejscową komunę, bardziej życzliwa niż w środkowej i południowej części Szkocji.

Tak się złożyło, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy miałem możność być niemal we wszystkich polskich obozach na Północy — może więc zainteresuje czytelników garść uwag na temat, jak się tam w ciągu ostatnich pięciu miesięcy ułożyły stosunki.

Ogólnie rzecz biorąc jest grubo lepiej, niż można było oczekiwać o ile idzie o morale, o nastrój żołnierza. Przeżywamy przecież ponure czasy, znajdujemy się w okresie niezwykle ciężkiej próby charakteru. Decyzje co do losu żołnierzy polskich już zapadły, najbliższa przyszłość rysowała się do dni ostatnich bardzo niepewnie, a i teraz, po oświadczeniu ministra Bevina o organizacji Korpusu Przysposobienia — nie mamy powodów do zachwytu. Myśl o dłuższej może rozłące z Krajem i najbliższymi, o konieczności osiedlenia się na obcej ziemi, nie opuszcza nas i kładzie się ciężkim kamieniem na serce. Może więc nie było by to takie niezrozumiałe, że w okresie manifestacji demobilizacyjnych żołnierzy amerykańskich, w czasie kiedy nawet w R.A.F. zdarzyły się odosobnione wypadki „strejku" — żołnierz polski chciałby sobie pofolgować w tym samym kierunku. Na szczęście, na chwałę tego tak często i hojnie obelgami obsypywanego żołnierza, nic takiego się nie zdarzyło. Przejeżdżając przez miasteczka i wioski północnej Szkocji widzi się powiewające nad obozami polskie chorągwie, przy bramach porządnie wystawione warty, w miasteczkach spokojnych, schludnie i niemal elegancko ubranych żołnierzy. Zapewne są to raczej zewnętrzne objawy dyscypliny i porządku, niemniej jednak mają one duże propagandowe znaczenie. Na własne uszy słyszałem jak w małym miasteczku Inverurie powiedział jakiś starszy Szkot do drugiego: „Patrz, Jim, jacy to spokojni, karni chłopcy. Tak nie wygląda wojsko, które się kończy..." Starszy pan miał rację: to wojsko dobrze wygląda i to wojsko nie „kończy się" mimo, że plany jego demobilizacji już są gotowe.

Kwatery w tych północnych stronach są na ogół znacznie lepsze niż w dawnych miejscach postoju. Obszerne, dobrze rozplanowane obozy żołnierzy kanadyjskich i amerykańskich zaludniają teraz Polacy; gospodarują też na opuszczonych przez R.A.F. lotniskach zwykle lepiej urządzonych i wyposażonych, niż normalne zbiorowiska „beczek śmiechu" „zielonej" armii. Skończyło się mieszkanie w halach fabrycznych, w salach przykościelnych. Żołnierz ma swój kąt, może się swobodniej rozgościć. Świetlice bywają duże i przestronne, w wielu wypadkach ozdobione z dużą pomysłowością i smakiem artystycznym.

Po stronie „cieniów" tego bytowania na Północy zapisać trzeba istotnie dużą odległość od większych środowisk. Do centralnej Szkocji trzeba jechać dobę, a Wick czy Thurso nie tylko nie mogą aspirować do rangi Edinburgha czy Glasgowa, ale daleko im nawet do poczciwego, prowincjonalnego Perth, które było kiedyś rodzajem szkockiej „stolicy" Polaków. Czasem nawet i do tych małych miasteczek czy wiosek jest parę mil drogi od obozu. W czasach kiedy żołnierz nie ma poważniejszych ćwiczeń, a normalne zajęcia służbowe nie wypełniają całkowicie jego wolnego czasu — nie jest to sprawa błahego znaczenia. Nakłada bowiem na dowódców i oficerów opieki niełatwy obowiązek wypełnienia wolnego od zajęć czasu żołnierza w sposób jak najbardziej pożyteczny. W wielu obozach zadanie to zostało szczęśliwie wykonane.

„Odosobnienie" — nie tak zresztą groźne — spowodowało także pewne dodatnie objawy. Przede wszystkim wszędzie tam gdzie znajdzie się inicjatywa, albo co jeszcze ważniejsze, gdzie inicjatywa żołnierzy jest należycie wyzyskana i poparta, rozwija się bujnie praca oświatowa. Książki, gazety nigdy jeszcze chyba nie miały tylu żarliwych zwolenników. Szczególnie pomyślnym jest objaw pogłębiania pracy samokształceniowej. Wielu żołnierzy, czytających dla rozrywki czy nawet „dla zabicia czasu", zasmakowało w lekturze i w ogóle w pracy umysłowej, wielu na własną rękę zabrało się do nadrabiania braków w dziedzinie wiadomości ogólnych i zawodowych. Na kursy uzupełniające szkoły powszechnej, na kursy handlowe i inne, zgłaszają się nie dziesiątki, ale setki kandydatów w oddziałach. Nie wszędzie równy jest poziom tych prac, ale wszędzie obserwuje się ogromny zapał i dobre wyniki końcowe.

Zapewne nie wszędzie zorganizowano życie umysłowe żołnierza na odpowiednio wysokim poziomie, na pewno można by znaleźć wypadki zaniedbania i na pewno w wielu obozach można było zrobić znacznie więcej, ale jest rzeczą nie pozostawiającą wątpliwości, że żołnierz w północnej Szkocji nie marnotrawi czasu bez pożytku.

Obok zwiększonego zainteresowania książką, gazetą, rozrywką kulturalną jako uboczny, a dodatni produkt życia „na odludziu" zarejestrować należy wielkie zżycie się w obozach. Szczególnie dobre wyniki wykazują w tej dziedzinie jednostki zwarte, nawet nowo zorganizowane i nie mające jeszcze tradycji bojowej; gorzej jest pod tym względem w obozach stanowiących zbiorowisko ludzi z różnych oddziałów.

Nie wszystko wygląda różowo w dziedzinie zatrudnienia żołnierza. Najlepiej jest wszędzie tam, gdzie żołnierz pracując zdobywa lub pogłębia własną wiedzę fachową albo gdzie praca jego jest bezpośrednio produktywna. Więc np. rybacy z Aberdeen są bardzo zadowoleni ze swoich polskich praktykantów, a mieszkańcy małego miasteczka Buckie z uznaniem mówią o sukcesach polskiego kutra — nazywa się bodaj „Zjawa" — i jego polskiej załogi. Dobrze się również czuje żołnierz na robotach rolnych i leśnych, przy budowie tamy w okolicach Cromarty. Natomiast mniej entuzjazmu budzą porządkowanie terenu i tak zwane „prace użytkowe", przy których żołnierze przerzucani są z jednego miejsca na drugie i z jednej pracy do drugiej, co po trosze przypomina funkcje „dziewczyny do wszystkiego". Wszystkie prace i zajęcia wykonywane są bez protestów i szemrania, ale że nie wszystkie jednakowo podobają się to prawda, której nie ma powodów ukrywać.

Stosunki z ludnością miejscową są wszędzie poprawne, często dobre, a nawet serdeczne. Nie było dotychczas wypadku, aby jakiś północno-szkocki gródek wstąpił w ślady Peebles czy Leven i wnosił petycje o zabranie polskiego garnizonu; przeciwnie uboższa w tych stronach ludność docenia gospodarcze korzyści polskiej „inwazji" w tych stronach. Polacy wypełniają tłumnie lokale miejskie, które mają okres niebywałej koniunktury, oni nadają ton życiu towarzyskiemu, organizując zabawy jakich tu bodaj nigdy nie widziano, oni decydują o powodzeniu rozmaitych lokalnych imprez na cele społeczne, oni wreszcie ożywili życie sportowe, demonstrując niespotykany w tych okolicach poziom w zawodach piłkarskich i lekkoatletycznych. Te wszystkie korzyści umieją tutejsi ludzie ocenić. Ale oczywiście to nie jest jedyna i wyłączna przyczyna, dla której żołnierze polscy na Północy są dobrze widziani. Patrząc na to spokojne i karne wojsko, które pracuje na obcej ziemi w rok po „największym w dziejach totalnym zwycięstwie", wszyscy ci, którzy chcą zadać sobie trud myślenia, muszą stanąć wobec pytania, dlaczego, gdy wszyscy już wrócili do swoich krajów Polacy są z dala od Ojczyzny? Dlaczego jest ich tak wielu? A kiedy widzą równocześnie, jak ci sami żołnierze zasypują przesyłkami do Polski urzędy pocztowe, jak rozwijają niebywałą inicjatywę byle zdobyć trochę odzieży, bielizny czy obuwia, jak odmawiają sobie papierosów byle pomóc rodzinom w Kraju — nabierają zwolna przekonania, że musi to być poważna przeszkoda, która zatrzymuje tych ludzi na obczyźnie i nabierają szacunku i zrozumienia dla sprzymierzeńców, których los tak ciężko doświadcza.

HENRYK DELAWSKI

„Nalot, nalot, nalot!"

W okresie V Day moim przyjaciołom Anglikom to opowiadanie składam w nieśmiałym darze.

Profesor X jest jednym z wybitnych polskich uczonych. (Nazywam go „profesorem X", bo któżby ośmielił się dziś, pisząc taką jak ta opowieść, przytaczać pełne nazwisko uczonego i, korzystając ze swobody prasy w Anglii, narażać przebywającego w Polsce człowieka na poważne konsekwencje ze strony t.zw. władz bezpieczeństwa). Otóż profesor X w moim mniemaniu i w mniemaniu wszystkich swoich przyjaciół i uczniów należał do ludzi niezwykle opanowanych i odważnych. Wypływało to i z jego natury i, jako produkt poboczny, wynikało z charakteru jego prac naukowych. (Pracy profesora ze względu na wyżej wymienione warunki bezpieczeństwa osobistego w Polsce wolę tutaj bliżej nie określać).

Profesor mieszkał w czasie okupacji niemieckiej w swoim miłym mieszkaniu i oddawał się nauce. Możność poświęcenia się nauce, okupiona była ceną niespożytej energii i zaradności pani profesorowej, kobiety młodej jeszcze i pełnej inicjatywy. Z dużym wdziękiem i z jeszcze większą pomysłowością pani profesorowa zabrała się do robienia damskich pantofli nocnych, które stały się podstawą materialnej egzystencji ich rodziny i kształcenia ich dzieci. (Na wszelki wypadek ilości dzieci, które młodymi głosami napełniały dom uczonego, wolę tutaj nie ujawniać. A jeśli chodzi o ścisłość to profesorowa zarabiała szyciem nie pantofli, a czego innego.)

Oprócz pracy naukowej profesor poświęcał niejedną godzinę Armii Krajowej. Z konspiracją zetknął się w drugim roku wojny dzięki przypadkowi. Zaczęło się od drobnej usługi ze strony profesora, małej rady, potem te rady i usługi stawały się coraz częstsze i coraz niezbędniejsze dla obu stron, nie tylko dla A.K., ale i dla profesora. Jasnym jest, że ta sprawa była okryta nieprzeniknionym milczeniem. O kontakcie profesora z A.K. nikt nie wiedział. Nie wiedziała nawet pani profesorowa, która miała nieoceniony dar w okresie konspiracji, dar przymykania swych wielkich, niebieskich oczu na tajemnicze zajęcia męża. Życie małżonków płynęło spokojnie.

Lubiłam zachodzić do domu profesorostwa. Rozmowy z profesorem, zazwyczaj dalekie od spraw okupacji i wojny, szły torami jego prac naukowych. W sposób prosty i przystępny dla zwykłego śmiertelnika profesor poruszał zagadnienia naukowe, a jego niski, spokojny głos mile brzmiał w pokoju wypełnionym książkami od podłogi aż po sufit.

Ale im dalej brnęliśmy w lata okupacji, tym trudniej było unikać rozmów na tematy wojenne.

Profesor nie podzielał zbyt różowych nadziei całego społeczeństwa. Nazywał je hypertrofią optymizmu, niebezpieczną dla psychiki zbiorowej. Obawiał się partnera sowieckiego. Twierdził, że jego wejście do walki pod przymusem inwazji niemieckiej będzie musiało być słono opłacone ze strony aliantów i to nie tylko w czasie trwania wojny ale i po pokonaniu Niemców.

„Temu sprzymierzeńcowi trzeba będzie płacić rezygnacją z zasad Karty Atlantyckiej — mówił profesor — trzeba będzie płacić bezcenną walutą rezygnacji z zasad moralnych i wtedy oczywista, los naszego narodu będzie losem ciężkim, albo nawet wręcz tragicznym. Jeżeli państwa anglosaskie i Rosja dojdą do zwycięskiego końca w wojnie z Niemcami to zwycięzcą w pełnym tego słowa znaczeniu będzie tylko Rosja".

— A cóż my — pytała pani profesorowa — przyszywając w nerwowym pośpiechu żółte pompony do nocnych pantofli.

— Dla nas zwycięstwo Rosji będzie dniem klęski, tak jak dniem klęski byłoby zwycięstwo Niemiec.

— Jak możesz tak mówić, mój drogi, irytowała się pani profesorowa — dniem klęski? Takiej samej klęski jak przy zwycięstwie Niemiec? Cóż za nonsens!

— Nie, innej — odpowiedział profesor — innej, bo klęski w której będziemy przez długie lata osamotnieni.

Obie z profesorową uznałyśmy, że mąż jej cierpi na hypertrofię pesymizmu, a profesorowa, układając w pudełku wykończoną parę pantofli, nazwała męża „czarnym krukiem".

Na wiosnę 1943 r. rozpoczęły się naloty sowieckie na Warszawę. Wyrządzały one co prawda więcej strat mieszkańcom i miastu, niż Niemcom, ale prawa wojny są olbrzymie, więc znosiliśmy je ze stoicyzmem.

Pewnego dnia poszłam po południu do domu profesorostwa. Było to nazajutrz po najcięższym nalocie sowieckim. W okresie dopalania przez Niemców ghetta.

— Proszę sobie wyobrazić, zaczął profesor, że miałem wczoraj zabawne zdarzenie. Wczoraj wieczorem po męczącym dniu położyliśmy się spać bardzo wcześnie. Nagle obudził mnie ostry hałas. Nawpół przytomny zerwałem się na równe nogi. Ktoś gwałtownie szarpał za klamkę w przedpokoju. To jasne: Gestapo! Nie zwlekając ani chwili dobiegłem do sieni i skonstatowałem ze zgrozą, że serce bije mi jak młot, a nogi mam miękkie w kolanach. „Zaraz"! krzyknąłem i zacząłem otwierać drzwi z łańcucha. Ręce mi drżały, wiedziałem, że za każdą sekundę zwłoki spadną na moją głowę uderzenia niemieckich pięści. Nagle zza drzwi dobiegł mnie znajomy głos naszej sąsiadki: „Dlaczego państwo nie schodzą do schronu? Jest alarm lotniczy. Już w stronie Pragi spadły bomby. — Czyżby państwo nie słyszeli? Schodzić na miły Bóg!"

— Proszę sobie wyobrazić, ciągnął profesor, że w tym momencie uczułem cudowne, błogie uspokojenie. Serce zaczęło bić normalnie, z uśmiechem obudziłem dzieci i jak człowiek, któremu los zesłał niespodziewaną premię, zszedłem do schronu. Okazuje się, że w mojej podświadomości ciężki nalot był igraszką wobec najścia na dom Gestapo. Ale nie koniec na tym — mówił profesor. — Siedząc w piwnicy, w pewnym momencie, gdy powietrze rozrywał huk bomb, a mury trzęsły się od wybuchów, zapytałem moich sąsiadów: — „co wolicie, drodzy państwo, nalot czy Gestapo". No i wszyscy oczywista zaczęli wołać bez wahania: „Nalot! nalot! nalot!"

— Zupełna jednomyślność — zaśmiałam się.

— Nie, proszę pani, — jednomyślności całkowitej nie było. Znalazła się pewna osoba, która była innego zdania; tą osobą była czteroletnia dzieweczka. Wysunęła z wielkiej chustki, w którą była owinięta, pobladłą z emocji buzię i patrząc na mnie przerażonymi oczami, rzekła drżącym głosikiem: „A ja już trochę wolę Gestapo niż nalot". Miałbym ochotę, kończył profesor, opowiedzieć tę scenę jednemu z moich przyjaciół w Oxfordzie! — Tu wymienił nazwisko.

Jednak profesor X nie znalazł, jak dotąd, okazji, by tę historię opowiedzieć swojemu przyjacielowi.

Już po tak zwanym zakończeniu wojny, spotkałam któregoś dnia profesora X w Warszawie. Postarzał, pochylił się nieco, posiwiał. Zaczęliśmy mówić o różnych sprawach dalekich od wojny, od polityki, od niewoli, słowem dalekich od tego wszystkiego, co sprawia ból. Szliśmy środkiem ulicy między zrujnowanymi domami. I nie wiem dlaczego, przypomniała mi się opowieść o tamtej ankiecie w schronie. Powiedziałam:

— No! ale już za to nie mamy ani nalotów, ani Gestapo, panie profesorze.

Profesor przystanął nagle i obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem.

— Czy pani sądzi, że gdybyśmy teraz, w tej chwili, tutaj, na tej ulicy zatrzymali tych wszystkich przechodniów, ten cały uliczny tłum, tych wszystkich ludzi i zapytali: co wolą: nalot czy N.K.W.D. — jestem tego pewien, że wszyscy, wszyscy bez wyjątku, zaczęliby krzyczeć jednym wielkim głosem: „Nalot! nalot! nalot!" Tylko... — profesor przerwał na chwilę — tylko, że tej sceny nie powtórzyłbym memu koledze z Oxfordu ani innym kolegom Anglikom, gdyż bałbym się, że tej sceny już nie chcieliby zrozumieć.

* * *

Kochany profesorze X. Może, drukując to moje opowiadanie, popełniam niedyskrecję w stosunku do Ciebie. Ale dziś, w dniu „zwycięstwa", stojąc z zadartą głową i patrząc na wspaniały przelot Halifaxów, Moskitów, Meteorów i Wampirów, które sunęły po angielskim niebie jak symbol zwycięskiej siły, wierności i dumy — wołałam w głębi mego wygnańczego serca w takt dawno niesłyszanych motorów: „Nalot! nalot! nalot!" i przypomniałam moje długie rozmowy z Tobą, Drogi Przyjacielu, „Czarny Kruku".

WANDA HEBLEWSKA

Skrzynka pocztowa

W ROCZNICĘ ZWYCIĘSTWA

Rocznica zwycięstwa nad Niemcami minęła. Była dość głośna i tu na tej wyspie obchodzona dość uroczyście. Co prawda, nie wszystkie narody brały udział w tej pierwszej rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej. Zabrakło Rosji, Jugosławii i Polski. Nawet zabrakło tych Polaków, którzy walczyli od pierwszego dnia wojny, którzy walczyli w obronie tych wysp, którzy walczyli pod Tobrukiem, Narwikiem, Monte Cassino i Falaise.

O tej pierwszej rocznicy zwycięstwa możemy z ręką na sercu powiedzieć, że to była pierwsza rocznica klęski. Walczyliśmy cały przeciąg czasu o inne cele i teraz nas Polaków nie sposób przekonać o zwycięstwie.

Klęskę własną czujemy zbyt mocno i zbyt wielkie mamy zastrzeżenia do zwycięstwa Zachodu. Było by jednak błędem sądzić, że tylko my zdajemy sobie z tego sprawę, wszystkie narody wychowane w tradycjach kultury podobnej do naszej oraz te, które szczerze pragną układać swoje życie według wzorów Zachodu czują, że zwycięstwo już nie jest zwycięstwem, ponieważ zgubiono te ideowe drogowskazy, które wytyczały drogi na początku wojny.

Walczono o panowanie prawa i demokracji ale nie zwalczono siły oraz totalizmu. Dziś naszym obowiązkiem jest wołać w imieniu wszystkich innych „niemych", że bierne bronienie się, pełne ustępstw, odstępstw i wahań od nakazów demokracji nie może prowadzić do niczego innego, jak tylko do ostatecznej klęski.

Nie pragniemy wojny, lecz pragniemy sprawiedliwości. Naszym zadaniem — wszystkich Polaków — nie dać się sprowadzić z raz obranej drogi. Droga przed nami wyraźna: nie złamać się, nie poddać się, ale walczyć, już teraz nie z bronią w ręku, aż u kresu tej drogi „spełni się Polska naszych żarliwych pragnień; wolna i niepodległa, Polska swobody i sprawiedliwości, Polska miłości Boga i ludzi".

W kim serce polskie bije, w kim głos obowiązku żołnierskiego nie zamarł — ten wie, jaką drogę wybrać. Ciężka to jednak droga, kamienista, pełna przeszkód a często i upokorzeń. Trzeba mieć silną wolę, wielką moc ducha i przekonania o słuszności polskiej sprawy. Nie każdy z nas będzie miał na tyle odwagi aby wejść na tę drogę, lecz większość z nas na pewno to już uczyniła lub uczyni i wtedy złączeni razem, będziemy walczyć aż do zwycięstwa. Ci Polacy w Kraju i ci, którzy powrócili do Kraju myślami są z nami. Oni o nas pamiętają i w nas pokładają całą nadzieję. Więc obowiązkiem naszym jest walczyć aż do zwycięstwa.

My tu rozsiani po całym świecie mamy więcej wolności jak ci, którzy są w Kraju. Mamy prawo walczyć o sprawiedliwość w każdym czasie o każdej porze. Nie możemy pozwolić na to, aby nas wykreślono z listy tych, którzy pierwsi stanęli do broni, którzy pierwsi nastawili swoje piersi w obronie wolności, w obronie praw demokratycznych. Nasza rezolucja musi być krótka, jak przysięga, powinna brzmieć: obowiązkiem naszym jest walczyć aż do zwycięstwa i pod żadnym naciskiem nie uchylimy się od spełnienia naszych obowiązków.

Tak nam dopomóż Bóg.

Mantykowski Antoni

O TŁUMACZENIE KSIĄŻEK POLSKICH

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając apolityczne książki polskie, zauważyliśmy, że potrzebne jest wydanie książek, przetłumaczonych na język angielski takich, jak: „Monte Cassino", „Droga przyszłości", „Quo vadis" (o ile ta ostatnia nie jest już przetłumaczona na angielski), oraz książki Marii Rodziewiczówny, jak: „Dewajtis", „Wędrowne ptaki" i t.p. mówiące o przywiązaniu Polaków do ich ojczystej ziemi. Niech nareszcie czytelnik angielski zrozumie cel naszej walki i nasze przywiązanie do ojczystej ziemi.

Dany pogląd rzuciłby inne światło na tych, którzy nas krytykują i są bardzo wrogo do nas nastawieni.

O ile to jest możliwe, może Pan Redaktor zechce umieścić nasz apel do wszystkich tych, którzy są zdolni do przetłumaczenia danych książek, któreby w rezultacie dały więcej niż książki polityczne w języku angielskim o Polakach i prawdziwej Polsce.

Bsmt. Karol B. i Mat Jan G.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

POEZJE

Wśród literatury wojennej bodajże pierwsze miejsce, jeśli chodzi o ilość, zajmują zbiory poetyckie. Jeśli zaś nawet poezjom odmówię ilościowego pierwszeństwa, to w każdym razie należy stwierdzić, że bardzo wiele wierszy napisali poeci prawdziwi i nieprawdziwi, natchnieni i zdawkowi w ciągu lat wojennych. I może dlatego o poezji tak mało się pisze. Wiersze, ukazujące się zbyt często, stają się rzeczą normalną i codzienną, przestają już nie tylko wzruszać, ale nawet budzić uwagę ogółu.

Czasem jednak pojawia się poezja naprawdę wielka, naprawdę rwąca za serca i poruszająca sumienia. „Wolność tragiczna" i „Podzwonne za Kaprala Szczapę" Kazimierza Wierzyńskiego to właśnie ów głos wielkiej natchnieniem i artystycznej formą poezji.

„Wolność tragiczna" wydana znowu na obczyźnie przez bibliotekę „Orła Białego" w Rzymie jest przypomnieniem dwudziestolecia między dwoma wojnami, obrazem minionej i utraconej niepodległości, tamtych marzeń i zrywów i nadziei. Jest poetycką kroniką najważniejszych przemyśleń i wypadków z najpiękniejszego okresu naszego życia. Każdy z nas pochyli się nad tomem tym wraz z całym swym żalem, uczuciami, wspomnieniami, zwiąże swą własną przeszłość z piękną — dziś to widzimy — przeszłością narodową.

Poetyckie wspomnienie poświęcone Karolowi Krzewskiemu, autorowi niezapomnianej, a jedynej w swym rodzaju książki: „Kaprala 1-ej Brygady Piłsudskiego, Szczapy, poglądy różne na rzeczy rozmaite" — ma smutek jesieni rzeczy minionych, w których powrót trudno już teraz uwierzyć. W tym poemacie Wierzyński także zamknął fragment dawnej legendy i górnej, jedynej w swym rodzaju historii.

Bardzo dobrze się stało, że ruchliwa i niejedną rzecz polską, lub o Polsce wydająca firma J. Rolls Book Co., Ltd., wydała tomik Rostworowskiego „Na cięciwie". Znajdzie on z pewnością wielu czytelników. Jest to talent, który z upływem lat rośnie coraz bardziej, nabrzmiewa nową siłą wyrazu.

„Wiersze czasu wojny" Wawrzyńca Czereśniewskiego wydane przez Caldra House, są przeciętną tęsknot żołnierskich. Usiłują zamknąć — zresztą dziś jeszcze niemożliwą do zamknięcia — epopeę żołnierza polskiego, który poprzez „zielone" granice, obce kraje i dalekie pobojowiska chce znaleźć drogę do Kraju. Czereśniewski, gdy chodzi o formę, jest poetą nowych czasów, a twórczość jego niejednokrotnie robi wrażenie ciągłego poszukiwania nowego wyrazu.

Z Niemiec otrzymaliśmy wiersze poety o nieznanym dotychczas nazwisku. Chodzi tu o „Czas wirujący" Mieczysława Ubysza. Wydał je w Northeim W. Helnarski. Jest to poezja konspiracji, powstania warszawskiego i wysiedleńczego smutku w Niemczech. Poezja niewątpliwie prawdziwa, zapowiadająca szczery talent. Specjalnie charakterystyczne w wierszach Ubysza jest względnie małe napięcie patosu przy ujmowaniu wielu, bardzo patetycznych sytuacji. Bezpośredniość tych wierszy stanowi chyba największą ich wartość.

Pastelową barwę i jakby pajęczą, jakby z babiego lata utkaną atmosferę smutku niosą wiersze Zofii Ilińskiej. Tomik polski „Duch Lorda Curzona" i angielski „Missing" (Ilińska pisze w obu tych językach bez ryzykownego pośrednictwa tłumaczy) to niewątpliwie dodatnie pozycje w twórczości emigracyjnej. Nastrój wywołany przez poetkę jest oczywiście bliski. Więcej niż bliski, bo jest dokładnie — nastrojem, myślą i przeżyciem czytelnika.

Przegląd pozycji poetyckich byłby niekompletny, gdyby pominąć „Po drodze" Ludwiki Biesiadowskiej. Po drodze, a więc w długiej męczącej i bynajmniej nie dobrowolnej wędrówce z Wilna czy Nowogródka na Syberię i przez Persję, Irak, Palestynę i Egipt do Turcji. Pomimo aż takiej przeszłości i aż tylu wrażeń, wiersze Biesiadowskiej mają smak świeżego, może trochę nawet zielonego owocu, specjalnie, gdy chodzi o formę. Ale są wierszami, prawdziwym wierszami.

MAREK ŚWIĘCICKI

SPIS RZECZY

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy! Czy aby jesteście wszyscy cali i zdrowi? Czy nikt z was nie został ranny w czasie „Victory Parade"? Jak wiecie na 11 milionów paradowiczów 4 tysiące było zduszonych i zemdlonych! Dusili się z braku...czystego powietrza. Mdleli z powodu bolesnego braku delegacji sowieckiej. Mówiłem wam już w poprzednim tygodniu, że byłem jedynym Polakiem, który — jak na prawdziwego demokratę przystało — brał udział w paradzie z własną paczką na plecach. Poza tym Polacy w tym dniu milczeli. Przepraszam, nie wszyscy. Reporterzy i speakerzy Polskiej Sekcji Radia Brytyjskiego trąbili w tym dniu aż do znudzenia hymny na cześć tej parady bez Polaków. Nie można się dziwić! Wojsko instytucja niepewna — B.B.C. murowana! Wojsko dzisiaj jest — a jutro „Korpus Przysposobienia Cywilnego". A właśnie o tym „przysposabianiu" na cywilów chciałem wam dzisiaj powiedzieć słów parę.

Idzie o zawód. Właściwie my wszyscy mamy jeden wielki zawód — ale z tego nie da się żyć. Więc będą nas uczyć. Króle się walą, trony padają, komuniści w wyborach przegrywają, a ty żołnierzu przysposabiaj się do cywila. Przede wszystkim muszą wykorzenić nasze wady narodowe. Wiem z dobrego źródła, że na pewno powstanie szereg kursów, między innymi: „Kurs zwalczania nałogów bojowych", „Kurs wykorzenienia odwagi i bohaterstwa", „Kurs rozbijania uczuć wzniosłych i patriotycznych". W projekcie nauczanie „realnego myślenia narodowego". Wykładowcy... Czesi.

„Korpus" zapowiada się, jak widzicie, bardzo ciekawie. Wykłady retrospektywne, dające rzut oka w przeszłość, obejmować będą między innymi takie tematy jak: „Niepotrzebny Wrzesień", „Jak Polacy mogli uniknąć udziału w „Battle of Britain", „Błędy hazardu pod Chambois i Falaise", „Ustalenie narodowości faktycznych zdobywców Monte Cassino" i t.p.

Rady praktyczne do przyszłego zawodu, celem uniknięcia nowego zawodu, obejmować będą całą grupę dydaktycznych, bardzo wychowawczych tematów, na które to wykłady już dzisiaj przyjmuję zgłoszenia obywatele. Oto wykaz najważniejszych:

1) Ćwiczenia praktyczne w zwalczaniu manii przekradania się przez zielone granice.

2) Praktyczne zwalczanie skłonności niepodległościowych.

3) Zaprawa przeciwko nałogom konspiracyjnym i pracy podziemnej.

4) Sztuka nierobienia powstań narodowych.

Jak widzicie, Obywatelki i Obywatele, wybór olbrzymi.

„Przysposobienie cywilne" takiego narodu wojowników jak Polacy to niełatwa sprawa i niekrótka. Zacznie się żmudna, codzienna praca odzwyczajania od salutowania, bicia obcasami, od noszenia orderów... Miesiące, całe miesiące! W drugiej fazie przyjdzie zmiękczanie samej postawy i zmiany sposobu mówienia. W trzeciej odczyty i wykłady, o których wspominałem... Czwarta faza — stadium najniebezpieczniejsze — poświęcona będzie uczeniu nowych umiejętności, a przede wszystkim opanowania.

Więc: na dużym stadionie ćwiczebnym postawią konie gotowe do szarży, czołgi gotowe do ataku i zrobią manewry. Dwie grupy ćwiczebne obcego wojaka, proszę obywateli, zaczną się „naparzać". A Polacy w charakterze biernych widzów dokoła stadionu! I ruszyć się nie wolno! Ani drgnąć! Ani za kij chwycić, ani kamieniem cisnąć. Spokój. Opanowanie. W ten sposób oduczać nas będą od awantur wojennych i wpajać zasady zdrowej, realnej obojętności narodowej.

Kto z was, mili demokraci, wytrzyma na tej próbie „naparzania się" innych bez udziału Polaków — dostanie dyplom „przysposobienia cywilnego".

Tak wyuczony, wyprany i wypróbowany absolwent odstawiony będzie z honorami do bramy obozu. Tam — niespodzianka — sztandary (tymczasowe, sztuczne makietki ćwiczebne), orkiestry, defilada...

Jeżeli się nie rozpłaczesz, jeżeli nie zaczniesz maszerować „dumnie wybijając kroki" w takt marsza, jeżeli nie krzykniesz: „Nie damy"! „Wytrwamy"!, „Do broni"!, lub „Niech żyje"! — przejdziesz bramę. Będziesz wolny i... szczęśliwy.

Jeżeli zdarzy ci się „gaffa" w postaci łzy — bo sztandary..., w postaci kroku defiladowego — bo orkiestra, w postaci „Niech żyje" — bo parada, — pójdziesz z powrotem na kurs i stracisz dyplom „przysposobienia cywilnego". A więc już dzisiaj trenujcie, mili demokraci. Mądrzeście zrobili, żeście nie poszli na tę „Victory-parade", bo bardzo możliwe, że chcieli nas pierwszy raz popróbować...

Kończę i wznoszę okrzyk: „Niech żyje przysposobienie Korpusu do cywilnego rozsądku!" Do usłyszenia za tydzień na tej samej pacze.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

Odpowiedzi na nadesłane listy w sprawie poszukiwań krewnych

St/Sgt. Poniatowski August: poszukiwanie rodzin na terenie Polski jest dla nas na razie utrudnione. Wysłaliśmy do żony Pana list podług załączonego adresu. W razie otrzymania odpowiedzi nie omieszkamy Pana zawiadomić.

Cpl. Józefowicz, strz. Henryk Rynas, ppr. Józef Wołek, L/Cpl. Folkman Tadeusz — nazwiska poszukiwanych przez Panów krewnych zostały umieszczone w prasie miejscowej z dołączeniem adresów Panów.

Eleonora Tucholska z Detroit poszukuje por. Proroka, który był swego czasu z ekipą Gen. Ducha w Windsor w Kanadzie, a następnie pełnił służbę w 2-gim Korpusie Gen. Andersa we Włoszech. On sam, lub któryś z jego kolegów, proszony jest pisać na adres: Eleonora Tucholska, 7891 Frontenac Ave., Detroit 13, Mich. USA.

Nawiązanie korespondencji

Cpl. Zakroczyński Tadeusz, Kren Kolister: — prośba panów została opublikowana w Dzienniku Polskim. Niezawodnie wkrótce otrzymają panowie upragnione listy z Ameryki.

O pomoc dla rodzin w Polsce

Zenon Zalewski, Mitrenga Gerhard, Kopczyński Tadeusz, Szarzyński Karol, Sienkiewicz Bronisław, Barabasz Alfons, Lubańska Władysława, Przybylski Franciszek, Wojciechowski Roman, Korciuk-Zaleski Rajmund, Szymyński Ignacy, Bartosiński Heliodor, Michalski Władysław, Bartel Zbigniew. — Listy w sprawie pomocy dla rodzin w Polsce zostały skierowane do Rady Polonii Okręg 34, do komitetu wysyłki paczek żywnościowych. Wysyłka dokonywana jest systemem alfabetycznym, tak że każda rodzina otrzyma pomoc w drodze kolejności.

Adres Głównego Zarządu Rady Polonii

Cpl. Maziuk Bazyli: prosimy pisać w ten sposób: — American Relief of Poland, 1200 North Ashland Ave., Room 312, Chicago 22, Illinois.

POSZUKIWANIA

Mr. A. GAJDA, 212 Huron Street, Brooklyn, N.Y. — poszukuje Jana WOJTYSIAKA — ostatni adres był 79 Eng. C. Bn. A.P.O. 513, Polish Guard Det. c/o Postmaster USArmy, Baltimore, France (?).

Ktokolwiek wiedziałby o losie mego brata MALECKIEGO Alfonsa, ur. w 1927 r. pow. Starogard, przebywającego we wrześniu 1944 r. w Niemczech, a obecnie znajdującego się najprawdopodobniej w szeregach II Korpusu, proszony jest o kierowanie wiadomości pod adresem kan. MALECKI Józef, Polish Forces P/15, Edinburgh.

OGŁOSZENIE

Potrzebny chłopiec na praktykę w wieku 14-16 lat. Pożądane: ukończenie Secondary School Education, znajomość języka polskiego i angielskiego. Zgłoszenia na piśmie wraz z referencjami należy kierować do Administracji „Fighting Poland" Trust, 69, Earls Court Square, London S.W.5.

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne 6d. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600

Printed or „Polska Walcząca" by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper